

Uwielbiam nocne przechadzki. Najlepiej kilka sekund po północy. Nie lubię, gdy ktoś mi wtedy towarzyszy – pragnę pozostać sam na sam z moją duszą niebieskiego ptaka, nieuleczalnego autsajdera.

Upewniam się, że wszyscy moi bliscy odpoczywają, pogrążeni w śnie bez snów, po czym wymykam się niepostrzeżenie, tak, aby nikt nie wiedział o moich niecnym zamiarach. Zamykam za sobą drzwi klatki schodowej, przystaję w pół kroku i wdycham z ulgą przecudownie mroźne, lekkie nocne powietrze, czyste po sam szpik. Podnoszę niepewny wzrok, aby spojrzeć ciemności prosto w twarz. Niebo u moich rąk klei się od miliardów sprofanowanych gwiazd. Jeszcze przez chwilę delektuję się upojną atmosferą, typową dla niepiśmiennych poetów, po czym stawiam swój pierwszy krok. Krok ku nowemu życiu, ku zażyłości tkwiącej w okowach ufnosci...

Lubię być sama podczas wędrówki po najczarniejszych zakamarkach miasta – już o tym pisałam. Odnoszę wrażenie, jakby cały wszechświat skupiał się tylko i wyłącznie na mnie. Nie mogłabym iść dalej, gdyby ktoś dowiedział się o mojej uroczej siostrze syjamskiej – melancholii.

Wpatrzona w ciemność, niestrudzenie brnę ku pustym zakątkom, choć widzę dość wyraźnie, choć daleko z tego miejsca do najbliższego światła. Odgarniam trzęsącymi się z podniecenia rękoma czarne, pstrokate od konstelacji poły. Jako że nie błąka się wraz ze mną druga dusza, mogę iść z wysoko uniesionym czołem – bez lęku, że ktoś będzie mnie podglądał bądź śledził. Podnoszę ramię, próbując wywęszyć Boży dotyk. Jestem sama, do bólu sama, echem toczy się mój półszept. Nikt nie zna moich myśli. Pustka przygotowuje się do snu. Nie ma nikogo, kto zrywałby za mnie gwiazdy. Nie ma samotności, nie ma wrogów. Wiem, że cudzołóstwo czai się w pobliżu – czuję jego matczyne ciepło, zapach mleka...

Dopóki trwa noc, nie boję się nienawiści. Nikt mnie nie widzi, nikt za mną nie podąża. Robię wszystko, czego nie ukrywa przede mną Stwórca. Wokół nie ma nikogo – mogę biec, dopóki potrafię. Dopóki widzę przed sobą szlak bez pobocza. Idę, idę, idę – bo jestem zmuszona gdzieś iść. Nie oglądam się, wzruszający chłód mi na to nie pozwala. Staję na baczność, kiedy mijają mnie czyjś krzyk – na próżno. Rozglądam się, ale widzę wokół tylko pogodne spojrzenia. Spojrzenia całe w posoce. Pochylam głowę utkaną z myśli, ale wyłącznie na moment. W końcu uśmiecham się do drzemiącego wiatru i podążam za życiem, w tej chwili zaklętym w piąstkę włoskiego orzecha.

Zbliża się trzecia. Za dwie godziny z okładem każdy z nas dostanie jeszcze jedną szansę – zakładając, że do niej dotrwa. Na drodze spotykam dwa razy nieznanymi twarzami – wykrzywione rozległym bólem i strachem. Twarze, które nigdy nie zaznały piękna uśmiechu. Oblicza z krwawiącymi szramami na policzkach. Te twarze... omijają mnie. Brną tam, skąd przyszły. Co ja na to? Nie mam odwagi, aby je powstrzymać. Skoro znają doskonale swój cel, nie mam prawa podstawić im nogi. Jeszcze przez chwilę widzę ich straceńcze oczy pozbawione powiek. Mimowolnie przypomina mi się „Krzyk” Muncha... Odprawiam zjawy wzrokiem – po chwili znikają pośród ciemnego blasku rzucanego przez uliczne latarnie. Chciałabym pomachać na przywitanie i pożegnanie, ale ramię ciąży mi jak zmyślone sumienie.

Czwarta. Czwarta trzynaste. Wiem, że lada moment noc zrodzi pierwotny świt. Czy się boję? Nie. Prawdopodobnie nie. Szkoda tylko, że moja wędrówka – podróż w głąb siebie – musi tak brutalnie się kończyć. Cóż... Muszę spodziewać się jeszcze jednej nocy. Z tą pokrępowaną wizją, odwracam się plecami do kierunku dotychczasowej podróży i podążam ku przeszłości – tam, gdzie pochowałam moje najciemniejsze marzenia. Kiedy jestem blisko – ostatecznie blisko – noc zaczyna przersedzać się. Na

wschodzie rozkwita pomalutku jutrzienka. Jej bolesne światło wkrada się pod moje powieki. Próbuję schować się za kotarą dłoni, ale dzień musi powrócić.

Kiedy zaczynam wspinać się po schodach, słyszę pierwsze niewinne szepty ptaków. Idę, brnę... Uch, co za ulga – nikt nie dowiedział się o mojej ucieczce. Zamykam ostrożnie drzwi i szukam swojej dzisiejszej maski. Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie pozostawiłam ją ostatnim razem... Ach, wreszcie jest – u wejścia kołyski. Zanurzam twarz w tej masce – pasuje, jakby szyta na miarę. Pasuje wprost idealnie! Kto by pomyślał?

Z maską na twarzy, pokonuję krawędź kołyski. Układam swoje ciało w pozycję embrionalną, przykładam pomarszczone czoło do mięciutkiej poduszeczki, przykrywam koczykiem. Zamykam oczy, aby uciec stąd jak najprędzej. Słyszę, jak czas śpiewa mi kołysankę – okrutnie fałszuje, ale wkłada w to ogrom serca. Czuję się, jak moje zmęczone powieki opadają. Teraz, gdy wszyscy porządni ludzie wstają do obowiązków, ja popadam w półsen. W półsen, który będzie trwał do kolejnej nocy. Nocy, kiedy po raz kolejny oszukam świat i wychynę zza kotary, gdzie czeka na mnie moja prawdziwa przyszłość...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

KatarzynaKoziorowska, dodano 16.11.2021 15:35

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.